

# WSPOMNIENIA BOLESŁAWA JOZEFA BIEGI

Dyktowane na taśmie w latach 1973-75 w Chicago  
(redagowane przez syna Bolesława Krzysztofa Biega - w 1995-2008r.)

---

## CZĘŚĆ 4 - PARYŻ XIII - STUDIA W PARYŻU

Do Paryża pojechałem piętnastego października. Doskonale pamiętam tą datę ze względu na pewne okoliczności jakie się na to złożyły. 15-go października jest świętej Jadwigi, imieniny mojej siostry i ona urządziła jakiegoś małe przyjęcie u siebie i ja naturalnie już zlikwidowałem mieszkanie, z walizkami przyszedłem na jej przyjęcie i wprost od niej poszedłem na dworzec kolejowy, dworzec wiedeński w Warszawie.

Do Paryża wyjechałem przez Wiedeń. Była to jedyna możliwa droga. Tym razem podróżowałem zupełnie wygodnie, ponieważ jadąc do Paryża otrzymałem papiery z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i obciążono mnie pocztą dyplomatyczną, którą miałem przewieźć do poselstwa polskiego. W związku z tym miałem opłacony wygodny przejazd, funkcjonowały wtedy już wagony sypialne. Zarezerwowano dla mnie miejsce w przedziale wagonu sypialnego, gdyż kurier dyplomatyczny musi mieć warunki w których nie może się ciągle czuć w strachu co się z jego pocztą dzieje. Podróż więc miałem wygodną, ale pociągi wtedy chodziły wolno, ponieważ tory kolejowe były w kiepskim stanie, i tabor kolejowy też nie był najlepszy. Podróż trwała wtedy z Warszawy do Paryża całe trzydzieści pięć godzin

Wyjechałem więc trzeciego dnia rano, jadąc przez Wiedeń, potem przez Szwajcarię do Paryża. We Wiedniu nie zatrzymywałem się. Wagon mój przetoczono z jednego dworca na drugi i przyczepiono go do pociągu idącego z Wiednia przez Tyrol, Bern Szwajcarski do Paryża, gdzie naturalnie zupełnie oczarowany, zupełnie nie świadomy tego co mnie czeka, zajechałem w godzinach rannych, koło godziny ósmej czy dziewiątej rano. Pociąg zatrzymał się na Gare de l'Est..

Paryż! Czarowne słowo! Paryż Stolica świata! Jestem w Paryżu, narazie w ogromnej hali Dworca Est Ruch duży. Pociągi wyrzucają masy podróżnych. Zawolałem tragarza, dałem mu swój bagaż i wyszedłem na zewnątrz dworca. Wziąłem taksówkę i pojechałem do hotelu. Taksówka jedna z tych weteranek pierwszej wojny światowej, ruszyła. Podałem adres. Przez małe okienka nie wiele mogę zobaczyć, ale widzę wielki ruch na ulicach. Taksówka stanęła przed moim hotelem. Wysiadłem. Przed sobą widzę imponujący Arc de Triomphe. Nie mam jednak czasu na rozglądanie się, ponieważ portier hotelowy zabiera moje bagaże. Wchodzę do hotelu. Hotel duży. Zarejestrowałem się, wziąłem klucz, poszedłem na górę i zacząłem się przygotowywać na wyjście na miasto.

Dokończyłem rannej toalety, rozpoczętej jeszcze w wagonie sypialnym, wziąłem moją pocztę dyplomatyczną, zjechałem na dół, wszedłem z hotelu. Kilkanaście kroków przede mną był Place d'Etoile. Wszedłem. Przed sobą zobaczyłem wspaniałą perspektywę. Luk Triumfalny. Przeszedłem na drugą stronę, pod Luk Triumfalny. Nie płoń tam jeszcze znicz nad grobem Nieznanego żołnierza. Rozejrzałem się, w lewo, w prawo, spojrzałem w dół wzdłuż Champs Elysees. Na prawo Avenue des Grandes Armees, Avenue de Bois de Boulogne. Wszystko to przy ładnej październikowej, słonecznej pogodzie, zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Przeszedłem na drugą stronę placu do ulicy Avenue Kleber. Tam pod numerem 11-ym mieściło się nasze poselstwo. Mały dom, palacyk, wszedłem. W hallu rozejrzałem się, zapytałem portiera którędy mam wejść do

kancelarii, gdzie oddałem mój pakiet dyplomatyczny, który mi pokwitowano i zacząłem krótką rozmowę.

Pierwsze moje pytanie było, czy mogę dostać adres Bartoszewiczów. Wiedziałem, że z Warszawy, że Joachim Bartoszewicz z żoną i moim kolegą Władkiem są już w Paryżu. Ich adres poddano, też numer telefonu. Poprosiłem o pozwolenie użycia telefonu. Zadzwoiłem pod wskazany adres. Szczęśliwie do telefonu podszedł właśnie Włodek. Powiedziałem mu kto dwoni. Ucieszył się niesłychanie. Powiedziałem, że przyjechałem do Paryża na stałe. Krótka wymiana, najważniejszych informacji. Chciałbym się jak najprędzej z nim zobaczyć. Miał tam jakieś zajęcie, ale obiecał, że będzie się ze mną mógł spotkać za dwie godziny. Umówiliśmy się, że się spotkamy w hallu mojego hotelu. Tymczasem wyszedłem z powrotem na ulicę, wróciłem na Place d'Etoile. Teraz już bez większego pośpiechu, zacząłem się rozglądać i podziwiać te wspaniałe perspektywy.

Ochłonawszy trochę z pierwszego wrażenia, mając koło dwóch godzin czasu, udałem się na swój pierwszy spacer. Mianowicie, zacząłem schodzić w dół Polami Elizejskimi w stronę Place de la Concorde. Champs Elysees wyglądały zupełnie inaczej aniżeli dzisiaj. Te same duże domy o fasadach typowych dla domów paryskich, bez balkonów. Ale spokojne, poważne, ciche, żadnych sklepów, te same kawiarnie, lecz mniej niż dzisiaj. Zacząłem iść w dół Aleje obramowane starymi drzewami kasztanowymi, które w kilka lat później miały ustąpić miejsca obecnie obramujących tę wspaniałą ulicę, szeroką, platanami.

Ruch stosunkowo nie wielki. Żadnych sklepów, żadnych krzyczących reklam, więc myślałem sobie, dobrze, ale gdzie jest kipiący ruchem Paryż? Wiedziałem, że jest niedaleko, że to jest na bulwarach. Nie bardzo miałem ochotę na ten krótki spacer wychodzić daleko od mojego hotelu, więc wolnym krokiem zacząłem iść w dół. Skręciłem w którąś z bocznych uliczek i zaraz natknąłem się na mniej imponujący, bardziej skromną kawiarnię, był to paryski bistro. Wszedłem. Usiadłem. Zamówiłem coś do zjedzenia i zamyśliłem się. Z jednej strony byłem zmęczony podróżą, z drugiej strony jednak wrażenia jakich doznałem. Pierwsze wrażenia paryskie, miały swój specjalny wpływ psychiczny na mnie. Tak pijąc kawę i jedząc to co zamówiłem, czekałem na spotkanie się z Władkiem, z którym zacząłem chodzić po Paryżu.

W porę wróciłem, do hotelu, usiadłem w hallu, i czekałem na przyjście Władka. Zjawił się. No oczywiście uciszyliśmy się i zaczęliśmy rozmawiać. Zwykle w takich okolicznościach rozmowa jest bardzo chaotyczna. On mnie pytał co tam robiłem, a ja jego i tak w kółko. W koncu Włodek zaproponował: "Co będziemy tutaj siedzieli w tym hallu, chodźmy na spacer."

Wróciliśmy na Champs Elysees, doszliśmy do rogu Avenue Georges Cinque, do sławnej kawiarni Fouquet.. Usiedliśmy na tarasie, wygodnie i zamówiliśmy coś skromnego, dwie szklanki piwa. Siedząc w wygodnych krzesłach na tarasie, zaczęliśmy rozmawiać już w sposób bardziej sensowny. Ucieszył się, że pozostaję w Paryżu,

Jednym z tematów, które z początku poruszył, powiada,

"Dlaczego ty mieszkasz w tym hotelu, to przecież bardzo drogi hotel."

Ja odpowiedziałem mu; "No tak, ale to jest adres jaki dostałem w Warszawie, wyjeżdżając. Prawdo podobnie ten adres podano mi, ponieważ ten hotel był tak blisko poselstwa i prawdopodobnie ci którzy wyjeżdżali do Paryża, po raz pierwszy, często się tam musieli zatrzymywać, więc i ja się tam skierowałem."

A Włodek nato; "Nie bardzo to ma dużo sensu, to musimy sobie znaleźć coś bardziej odpowiedniego dla ciebie w tej chwili."

Więc powiedziałem, że mam wstąpić na studia do Sciences Po, które wiedział, że jest tuż obok kościoła St. Germain de Pres. Więc powiada,

“Pojedziemy w tamtą stronę.”

Na rogu koło kawiarni jest wejście do metro. Po raz pierwszy w życiu byłem w koleji podziemnej. Przeprowadził mnie przez odpowiednie korytarze, nadszedł pociąg i pojechaliśmy. Wysiedliśmy na stacji St.Germain de Pres, blisko kościoła i wyszliśmy na Bulwar St.Germain. Teraz zobaczyłem ten wielki Paryż. Wprawdzie Bulwar St.Germain nie jest środkiem tego kipiącego życia bulwaru, ale dużo żywszy niż majestatyczne Champs Elysees. Szybko znaleźliśmy mały hotelik na rue Jacob, który się zwał Hotelem Jacob. I od razu wynająłem pokój.

Ponieważ byłem tak blisko swojej przyszłej szkoły Ecole des Sciences Politiques, na Rue St. Guillaun, poszliśmy tam. Rok szkolny miał się rozpocząć jak zwykle na uczelniach paryskich pierwszego listopada, a był już osiemnasty października.. Więc zgłosiłem się w kancelarii, wylegitymowałem się i zostałem przyjęty, zapisany, nawet ponieważ miałem pieniądze przy sobie pierwszą ratę opłaciłem.. Rozejrzałem się~ po korytarzach i zajrzałem do bardzo pięknej sali bibliotecznej, wysokiej, ślicznej ,miejsce rzeczywiście nadające się całą swoją atmosferą do poważnych studiów.

Potem, gawędząc, zaczęliśmy spacer. Przeszliśmy tuż obok nad Sekwaną, przez Pont Royal na drugą stronę rzeki do kompleksu budynków dawnego królewskiego pałacu Louvre. Dalej przez piękny Place Rivoli do kościoła Madeleine, potem z powrotem do Place de la Concorde. Oglądaliśmy wspaniałą perspektywę w górę Champs Elysees do Łuku Triumfalnego, wspaniałe wrażeni na mnie wywarło.

Czas szybko minął, Władek zabrał mnie z powrotem do kolejki podziemnej i wróciliśmy na Plac d’Etoile. Tam rozstaliśmy się; ja poszedłem do swego hotelu, a on do domu. Państwo Bartoszewicze mieszkali wtedy w wynajętym mieszkaniu bardzo blisko, przy Porte Dauphine, bardzo pięknie umeblowanym stylowymi francuskimi meblami. Władek obiecał że nazajutrz w godzinach rannych przyjdzie do mnie i pomoże mi przenieść moje walizeczki do hotelu Jacob.

Parę dni później zostałem zaskoczony propozycją wyjazdu do Strasburga. Mianowicie w czasie uroczystości otwarcia Uniwersytetu francuskiego w Strasburgu, miał się odbyć Kongres studencki. Było to zapoczątkowanie międzynarodowej organizacji studenckiej. Na ten kongres Uniwersytet Warszawski wysłał swojego przedstawiciela. Był nim Jan Baliński, student prawa na Uniwersytecie warszawskim i syn ówczesnego prezesa rady miejskiej w Warszawie. Nie chcąc żeby reprezentacja społeczności studenckiej polskiej była jedno-osobowo, zrodziła się tam w Warszawie myśl ażeby tą delegację uzupełnić. Wybór padł na mnie w towarzystwie Władka Bartoszewicza. Tak więc trzy czy cztery dni po moim przyjeździe do Paryża, wybrałem się w towarzystwie Władka do Strasburga nocnym pociągiem.

Strasburg na tą okazję przybrał formy bardzo uroczyste. Miasto było bardzo bogato udekorowane flagami i kwiatami. Uroczystości otwarcia uniwersytetu połączone z tym kongresem studenckim trwały trzy dni i miały cały czas przebieg bardzo uroczysty i poważny. My zarejestrowaliśmy się w biurze kongresowym, gdzie otrzymaliśmy odpowiednie legitymacje i programy z dołączonymi do tego zaproszeniami na rozmaite przyjęcia w Radzie Miejskiej i na Uniwersytecie i tak dalej. Tamżesz spotkaliśmy się z naszym towarzystwem z Warszawy Janem Balińskim. On był faktycznym delegatem polskim na ten kongres, w pracach kongresowych samych, ja i Władek nie braliśmy bardzo żywego udziału . Natomiast sami bawiliśmy się dobrze w Strasburgu, który jest starym bardzo pięknym miastem. Ma swoje piękne gminy, ma wspaniałą katedrę starą gotycką. Uroczystości w Strasburgu obchodziły powrót Alzacji do Francji po pięćdziesięciu latach z wielkim fermentem. Nadawało tym uroczystościom pewien

specjalny charakter regionalny, barwne stroje narodowe uroczych strasburżanek. One pełniły bardzo ochoczo funkcję gościnnych gospodyń.

Po powrocie do Paryża, w następną sobotę, zostałem zaproszony do państwa Bartoszewiczów. Pani Bartoszewiczowa utrzymywała tak zwany salon towarzyski, przyjmując w każdą sobotę członków delegacji na Kongres Pokojowy, oraz ludzi przyjezdnych z Polski. Były to bardzo ciekawe zebrania. Na tych herbatkach sobotnich, można było spotkać całą prawie intelektualną śmietankę polską wchodzącą w skład życia politycznego.

Z pośród członków polskiej delegacji pokojowej, spotkałem tam oczywiście Romana Dmowskiego, poznałem Stanisława Kozickiego, który był sekretarzem generalnym delegacji, a później polskim ambasadorem w Rzymie. Żona pana Kozickiego, oprócz tego że była damą z towarzystwa, była wcale nie najgorszą malarką. Obrazy jej były wystawiane w rozmaitych paryskich galeriach. Poznałem tam bardzo ciekawego człowieka, profesora Czekanowskiego znanego sławnego polskiego antropologa. Dowiedziałem się o rozmaitych teoriach dotyczących rasy ludzkiej, jej rozmaitych zwyczajach, rozmaitych szczepów zwłaszcza z terenów Afryki. Poznałem tam też znanego geografa profesora Eugeniusza Romera.

Chcę jeszcze powiedzieć o małym, bardzo dla mnie przyjemnym, wydarzeniu, które się zdarzyło jeszcze przed opuszczeniem hoteliku na rue Jacob. Któregoś dnia wieczorem przyszedłszy do hotelu dostałem w biurze hotelu u portiera małe zawiniątko. To była jedna śliczna, piękna ponsowa róża, o bardzo długiej łodydze, z małym bilecikiem od Maryli G. Zdziwiłem się. Ucieszyłem się, no i prawdę powiedziawszy, wolałbym zobaczyć ponsowe usta Maryli niż różę. Jeszcze we Lwowie nie powiedziałem jej, że wyjeżdżam do Paryża, bo wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Ale przed wyjazdem w ostatniej chwili napisałem parę słów do niej i powiedziałem, że wyjeżdżam do Paryża na stałe. Widocznie skorzystała z jakiejś okazji, ktoś z jej znajomych z Polski jechał do Paryża i poleciła mu odszukanie mnie i danie mi tego bilecika, kupienie tej róży. Kto był tym posłańcem nie wiem, nie zostawił nazwiska i nigdy więcej się nie odezwał.

Pan Czekanowski mieszkał w małym hoteliku przy rue d'Ecoles, prawie przy Jardin des Plantes. Ja też tam się przenieśliśmy. Również pracowałem w kancelarii polskiej delegacji ażeby trochę dorobić. Zaprzyjaźniłem się tam ze szefem biura z doktorem Szurla, Ślążakiem z pochodzenia, bardzo wykształconym człowiekiem i nabrałem trochę rutyny jak należy prowadzić porządne biuro. Przyszedł bardzo szybko listopad i zacząłem chodzić na wykłady, zjawili się moi towarzysze. Przyjechał Janek Wszelaki. Nie mogłem mu wynająć pokoiku w hotelu w którym mieszkaliśmy bo tam już nie było miejsca, ale znalazłem dla niego pokoik w sąsiednim hotelu, też na rue des Ecoles. Tak że mogliśmy razem chodzić do szkoły i na rozmaite posiłki do restauracji studenckiej w pobliżu.

Wtedy lunch kosztował jeden frank i dwadzieścia pięć centów. Za to dostawało się małą przekąskę, kawałek mięsa lub ryby i deser, albo ser. W tej cenie było też pół butelki wina białego czy czerwonego, do wyboru. Na stole koszyk z chlebem, którego można było jeść ile się podobało.

Nie trwało to zbyt długo, bo jednak warunki te nasze mieszkaniowe, nie bardzo nam zaczęły dogadzać. Zorientowaliśmy się, że nie potrzebnie, mieszkamy tak daleko od rue Saint-Guillaume, gdzie była nasza szkoła, to było kawał drogi i trzeba było jechać tramwajem. Wtedy po Paryżu kursowały tramwaje na ulicach normalnie. Jechać

tramwajem taki kawał drogi była nie potrzebna strata czasu, nie mówiąc o tym że i nie potrzebny wydatek, parę centów na bilet, które można było inaczej zużyć.

Zaczęliśmy szukać na rue Jacob i znaleźliśmy sobie mieszkanie w innym hotelu, na samym końcu, w ostatnim domu, zdaje mi się że był to numer 26. Nazywał się Hotel de Danube. W tym hotelu dunajskim wynajęliśmy apartament dwupokojowy w oficynie na pierwszym piętrze. Był tani i, co najważniejsze, był tylko pięć minut od naszej szkoły. Mieszkaliśmy w tym apartamencie przez cały pierwszy rok. Był oddalony od bulwaru St. Michel gdzie były wszystkie restauracje studenckie. Znaleźliśmy małą restaurację tuż obok, na początku rue de l'Universitee, która nazywała się La Cremerie. Prowadziła i gotowała właścicielka. Okazało się że to polka, wdowa. Pomagała i podawała do stołu córka. Było tylko sześć stolików. Tam jedliśmy codziennie razem z dwoma pozostałymi kolegami polskimi - Władysław Sidowicz i Stanisław Stachroszek. Często dokupiwaliśmy butelkę taniego wina i siedzieliśmy w tej restauracji wieczorami w czwórkę. Był też piąty towarzysz z Polski, Paweł Czerwiński, ale on mieszkał w zupełnie innej części Paryża. Na wykłady uczęszczałem bardzo regularnie. Wykłady były przeciętnie dwa, trzy, a raz na tydzień nawet cztery godziny dziennie. Oprócz tego drugą ilość tego czasu w pierwszych zwłaszcza miesiącach poświęcałem na naukę domową. Mianowicie w czasie wykładów studenci robili notatki. Ja też, ale szło mi to początkowo dość trudno, ponieważ moja francuszczyzna potrzebowała dużo dociągnięcia żeby osiągnąć perfekcję.

Zauważyłem, że kolega francuz siedzący obok mnie, po lewej ręce, robił notatki, tak jak wprost do drukarni, podtytuły podkreślone, tam gdzie argumentacja składała się z kilku pozycji, ponumerowane, i wszystko bardzo czytelnym ładnym pismem napisane. Francuzi uczą się tego w szkołach średnich. Troszkę nieśmiało, zagadnąłem go, zacząłem rozmowę, powriedziałem kto jestem i zapytałem go delikatnie czy nie zechciałby mi swoich notatek na chwilę pożyczyć.

Bez większych ceremonii zgodził się. Zabrałem więc jego notatki, nie ze wszystkich przedmiotów oczywiście, tylko z takich główniejszych, które wiedziałem, że trudno mi będzie uzupełnić inaczej. Zabrałem do domu, usiadłem przy stoliku i nie kopiowałem, bo to miałyby mniejszy skutek, ale porównywałem notatki swoje z jego, robiłem takie jakgdyby kompozycje swoich własnych notatek, opartych trochę na moich a głównie na jego notatkach. Ta praca była ciężka i żmudna. Mimo to uparłem się; przez pierwsze dwa czy dwa i pół miesiąca ciężko jednak pracowałem. Dało to dobre rezultaty. Miało to podwójny skutek, raz że opanowywałem przedmiot, a z drugiej strony poprawiałem swoją francuszczyznę. Bardzo mi się ta robota opłacała. Zapisałem kilka grubych zeszytów, które potem przywiozłem do Warszawy i miałem je przez pewien czas jako pamiątkę.

Na Uniwersytecie paryskim było nas pięciu stypendystów wysłanych na te studia przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wszyscy się przykładali, wszyscy starali się ażeby wyjść z tej próby jak najlepiej. Kiedy przyszły egzaminy dyplomowe cała nasza piątka otrzymała dyplomy. Dwa dyplomy z odznaczeniem „*Mention tres bien*”, Jan Wszelaki i ja. Tutaj dodam, że oprócz nas piątki wysłanych przez ministerstwo spraw zagranicznych, było jeszcze kilku innych Polaków, między innymi był Tadeusz Zażyłski, bardzo miły kolega, a później także kolega w służbie dyplomatycznej. Był tam prywatnie, mianowicie mieszkał u swego wuja w Paryżu, ale z Tadeuszem byliśmy w stosunkach dość bliskiej zażyłości. Oprócz tego było dwóch młodszych, to znaczy takich, którzy nie byli weteranami pierwszej wojny światowej, mianowicie Jan Drobojowski i Goszewski.

W szkole były dwa wydziały, wydział polityczny i wydział ekonomiczny. Na wydziale ekonomicznym był z polaków, także prywatnie Ćwiczewski. To chyba wszyscy, co za moich czasów byli na studiach w Szkole Nauk Politycznych. Wszyscy ją ukończyli i otrzymali dyplomy. Rejestr byłych studentów z dyplomami i bez dyplomów, był później w Warszawie., Później założyliśmy w Warszawie stowarzyszenie byłych studentów *Ecole des Sciences Politiques*.

Ponieważ w tym okresie wiosennym miałem trochę więcej wolnego czasu, na jednej z takich herbatek u państwa Bartoszewiczów powstała myśl brania pomocniczej pracy w delegacji paryskiej. Oczywiście, że zgodziłem się na to bardzo chętnie, nie tylko dlatego, że dawało mi to możliwość osobistego dalszego rozwoju i kształcenia się, ale także i dlatego, że otrzymałem jakieś skromne wynagrodzenie, które było bardzo pożądane. Przecież należało dużo rzeczy sobie dokupić, przyjechałem do Paryża z bardzo skromnym ekwipunkiem osobistym. Należało sobie sprawić porządne nowe ubranie, buty, a nawet kapelusz, bo wtedy w Paryżu właściwie bez kapelusza nikt nie chodził. Nasze zajęcia szkolne były przeważnie od godziny drugiej do piątej, czy trochę później, popołudniu. Rzadko bywały wykłady w godzinach przedpołudniowych, więc mogłem sobie ten plan ułożyć i do tej roboty się zgłosić.

To już było po zawarciu wszystkich traktatów pokojowych. Polska delegacja oczywiście bardzo zeszczupiała i siedziba delegacji została zlikwidowana i biura już bardzo zmniejszonej delegacji, zostały przeniesione na Ave. Kleber, do siedziby polskiego poselstwa. Moje nowe obowiązki, stosunkowo proste i nie skomplikowane - pomoc w sekretariacie. Są w nim trzy sekretarki, maszynistki, stenotypistki francuskie. Właściwie są tylko dwie francuski, a jedna polka urodzona w Paryżu, wychowana w Paryżu, mówiąca niezłe po polsku. W tym dla mnie nie skomplikowana funkcja, bo byłem w sekretariacie do pilnowania, ażeby wszystko było porządnie przepisane na maszynie, skorygowane i gotowe do wysyłki. Mój przyjaciel Włodek Bartosiewicz to samo robi popołudniu, ale wcale nie przejmuję się tym za nadto, jest bardziej zainteresowany swoimi ciągotami do życia artystycznego, do studiowania malarstwa.

Szefem biura był pan Szura, którego już parę miesięcy dobrze znałem. Sekretarzem delegacji był pan Stanisław Kozicki, wśród ekspertów politycznych jest pan Joachim Bartoszewicz i parę innych osób. Praca ta nie przedstawia dla mnie żadnej specjalnej trudności.

Na świecie wielkie wypadki. W Polsce wojna z Rosją bolszewicką, która na razie (na wiosnę 1920) ma przebieg przeważnie bardzo korzystny dla nas. Jest wielka ofensywa na Kijów. To jest tematem rozmów i dyskusji między nami. Mamy oczywiście trochę różne poglądy na te sprawy, a na terenie delegacji, także spotykam się z opiniami, nadającymi mi swoje stanowisko krytyczne w stosunku do polityki kierowanej w Warszawie przez Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. Jest tutaj dyskusja na temat słuszności, czy nie słuszności co do polityki ukraińskiej. Oczywiście to co się dzieje w Warszawie ma duży oddźwięk wśród nas.

W Warszawie jest walka polityczna bardzo ostra, poglądy ścierają się, zarówno w prasie jak i na terenie sejmu. W Warszawie następuje zmiana rządu. To wszystko ma na nas duży wpływ i dla mnie wielkie znaczenie. Szukamy wiadomości, gdzie możemy, głównie w prasie i przetrawiamy to albo samotnie, albo w rozmowach, czy dyskusjach wzajemnych.

W połowie czerwca odbywają się egzaminy na końcu roku szkolnego. Trzy egzaminy pisemne, z historii dyplomacji, z prawa międzynarodowego i z ekonomii. Trwają trzy i pół godziny. Dostajemy tematy w kopercie. Po trzech i pół godzinach, to co napisane, trzeba oddać komisji egzaminacyjnej. Po paru dniach wyniki zostały wywieszane. Sprawdzam listy i znalazłem się w rubryce tych którzy w sposób zadawalniający tą pracę wykonali. Tak jeśli chodzi o szkołę i naukę, dochodzi do ferii letnich. Po tych egzaminach pod koniec czerwca, rok szkolny został zakończony. Drzwi szkoły zostały zamknięte. Nie zupełnie, bo w ciągu ferii letnich, był pewne godziny, kiedy drzwi był otwarte, dla tych, którzy chcieli wstąpić żeby coś studiować w bibliotece szkolnej.

Na ferie wakacyjne rozbiliśmy się. Jan Wszelaki, który miał rodzinę w Warszawie, ciągnął do Warszawy. To samo prawie dotyczyło Stanisława Roseta, który też wybrał się na ferie letnie do Warszawy. Sidowrowicz nie miał żadnych specjalnych tam zainteresowań. Mnie też nic specjalnie do Warszawy nie ciągnęło. Domu tam nie miałem. Wobec tego rozbiła się nasza paczka.

Zlikwidowaliśmy mieszkanie. Wobec tego znalazłem się jak gdyby na bruku. Skoro miałem teraz funkcję w sekretariacie polskiej delegacji na cały dzień, na całym etacie. poszukałem sobie mieszkanie jak nablżej i jak najwygodniej do położenia biura na Avenue Kleber.

Więc znalazłem sobie pomieszczenie w pensjonacie w położeniu dla mnie bardzo wygodnym, bo między Place des Etats Unies a Avenue Kleber. To był mały pensjonat. Był prowadzony oczywiście przez rodzinę francuską, jednakowoż pochodzenia Alzackiego. Był to pensjonat porządny, dobrze prowadzony, ale raczej w klasie skromnych. Znajdował się w dużym apartamencie, na pierwszym piętrze, a oprócz tego mieli jakieś porozumienie z lokatorami na wyższych piętrach, zakwaterowane pokoje, które należały też do pensjonatu. Były one skromniejsze jeszcze niż te pokoje właściwe pensjonatu i trochę tańsze.

Ja w jednym z tych pokoi zamieszkałem. Cena pensjonatu pokrywała wszystko: mieszkanie i pełne utrzymanie. Śniadanie było czysto francuskie: filiżanka kawy, jakiś chleb i trochę dżemu, czy konfitur. Posiłek południowy był o godzinie dwunastej trzydzieści, dobry oraz dość obfity. Dania nie były bardzo wyrafinowane ale niezłe. Potem był obiad o godzinie siódmej, trochę już bardziej obfity, ale też skromny.

Rodzina Schroeder składała się z pięciu osób. Pensjonat prowadziła pani Schroeder z pomocą swojej młodszej córki, dwudziesto-pięć letniej panny. Starsza córka była mężatką i mieszkała oddzielnie. Najstarszy syn, weteran wojenny rangi oficerskiej, gdzieś pracował i też mieszkał oddzielnie. Po za tym w pensjonacie, było wtedy jak ja się wprowadziłem, cztery panie francuzki, jakiś młody człowiek francuz, oficer japoński pracujący w jakiejś misji, który przychodził codziennie na obiady w mundurze. Tak się złożyło że też była lokatorka polka, sekretarka urzędnika z Warszawy z Ministerstwa Przemysłu i Handlu, który był w Paryżu w jakiejś misji handlowej. Okazało się że ta pani była młodsza siostra mojego przyjaciela Wiktora Natansona.

W dni powszedne, pierwsze śniadanie jadało się w swoich pokojach. Oddzielnych stolików nie było. Obiad jadało się przy wspólnym stole, postawionym na środku pokoju. A więc, razem z rodziną właściciela, siadało do stołu dwanaście lub trzynaście ludzi. Przy tym wspólnym stole, odbywała się oczywiście wspólna rozmowa, przez co może lepsza była atmosfera niż przy osobnych stolikach, bo siedząc razem wszyscy się znali. Przy śniadaniach rozmowy były raczej krótkie, bo każdy się śpieszył żeby iść do swojej pracy. Wieczorem prowadziło się najrozmaitsze rozmowy. Ja któregoś wieczoru

wystąpiłem opowiadaniem o rzezi kijowskiej. Wtedy zauważyłem na twarzach wyraz niedowierzenia i nawet kpinkowatego uśmiechu,

„Ale ten chłopiec ma bujną fantazję, ale umie dobrze opowiadać!”

A teraz trochę o delegacji pokojowej. Ta nasza mocno zredukowana delegacja pokojowa, w której biurach ja zasiadłem. Więc do zakresu delegacji pokojowej należały następujące sprawy. Traktaty pokojowe, były zawarte, ale pozostawiały cały szereg otwartych kwestii ważnych, a nawet żywotnych, dotyczących młodego państwa polskiego. Trzeba było w dalszym ciągu na ten temat prowadzić rozmowy. Do zakresu delegacji należało przygotowanie materiałów do tej dyskusji i przygotowanie memoriałów i prowadzenie rozmów z innymi delegacjami, przede wszystkim z delegacją francuską, brytyjską, włoską.

Przypominam, że delegacja nasza działała w imieniu komitetu narodowego. W Komitecie narodowym teraz jednakowoż zdania i opinie były trochę podzielone, wobec tego w skład komitetu narodowego w Paryżu weszli przedstawiciele z Warszawy, Naczelnika Państwa Polskiego Józefa Piłsudskiego. Był tam generał dr. Toski, tudzież Filipowicz i Hempel. Oni mieli swoje zaplecze, mieli swój program polityczny, który starali się przeprowadzić. Jeżeli chodzi o przyszłe granice Polski, polityka wschodnia, były to punkty sporne i trudne. Odbijało się to na działalności naszej delegacji, która w swoim skromnym zakresie przygotowywała prowadzenie rozmów w sprawach konkretnych do załatwienia, ale w dodatku musiała też prowadzić żmudne rozmowy i uzgadnianie poglądów.

Nie było wówczas wtedy w Paryżu ani Paderewskiego ani Romana Dmowskiego. Kierownikiem biura był stale Szura, ale był jednak powołany do grona tego politycznego przygotowującego materiały do dokumentów, czy pisanie memoriałów. Także powoli funkcję nadzoru i kierowania całym sekretariatem wpadło prawie zupełnie w moje ręce. Sekretariat miał trzy maszynistki, sekretarki, stenotypistki. Jak powiedziałem były to trzy francuski, z tych jedna polka, urodzona i wychowana w Paryżu, mówiąca niezłe po polsku, ale kiedy chciała się wyrazić dobitnie, czy bardziej dowcipnie, zawsze dodawała francuszczyznę i to przeważnie w języku potocznym młodzieży paryskiej. Nauczyłem się w tym towarzystwie wielu wyrażen nie gramatycznych, zupełnie nie aprobowanych przez wspaniałą Akademię Nauk Politycznych! Tak, że wesoło sobie to załatwialiśmy, pogodnie, spokojnie.

Do naszego grona należał też młody polak, długo mieszkający we Francji, artysta malarz Bogdan Nawróczyński. Miał on funkcję tłumacza. Tłumaczył nie w rozmowach, ale robił tłumaczenia na język francuski, rzeczy napisanych po polsku. A to zdarzało się dość często, zwłaszcza przez przyjezdnych, którzy swoje argumenty przedstawiali w języku polskim i to Bogdan musiał ubrać w odpowiednią formę francuską. Również ważniejsze korespondencje, które były oczywiście po francusku, były jemu dane na ostatni szlif. Bogdan był dość poważny, ale też bardzo wesoły. Ponieważ był artystą należał do Bohemii paryskiej. Byliśmy w bliskiej komitywie i byłem z nim na jednej czy drugiej wystawie, czy galerii. I wiele się przy tej okazji nauczyłem.

Wracam do czynności organizacji. Otóż organizacja zajmowała się dalszym prowadzeniem spraw pokojowych i z tego powodu były liczne wizyty z kraju. Przyjeżdżały rozmaite delegacje w imieniu indywidualnych regionalnych interesów. Były delegacje ze Spiza i Orawy, były ze Śląska Dolnego, Górnego i Cieszyńskiego. Więc czasami mieliśmy kontakty także towarzyskie, bo jak się taka delegacja zjawiała w Paryżu, ludzi nie znających języka, bardzo patriotycznych i bardzo na serio traktujących swoją misję, to Mira, czy Bogdanowicz, czy Bartokiewicz powiedział,



„Chłopcy do mnie, słuchajcie, pokażcie im coż w Paryżu, zajmujcie się nimi, bo przecież, my nie mamy czasu nato, aby ich chołubić.”

Wszyscy byli bardzo uprzejmi, wdzięczni że oprawadzaliśmy po Paryżu, siedzieliśmy z nimi po kawaiarnaich, braliśmy do restauracji, dobrze zrozumieli że nie możemy płacić za nich. Jak przyszedł moment żeby zapłacić, oczywiście przy naszej pomocy, bo nie rozumieli, sięgali do kieszeni i zapłacili.

Przeżyliśmy klęskę, mieliśmy Cud nad Wisłą. Jakoś tą klęskę odepchnęliśmy, a jednak ta nawała bolszewicka, która załamała ducha wielu ludzi, którzy chwilowo może zwątpili, jednakowoż sytuacja minęła. Sytuacja nowo odrodzonego państwa polskiego zaczęła się gruntować. Rokowania z Rosją, zawarcie Traktatu Ryskiego, położyły podstawę dalszego umocnienia nowo niepodległego państwa. Moje życie posuwa się dalej.

## POCZĄTEK NOWEGO ŻYCIA

---

Jednego dnia przyszedłem wieczorem na obiad do pensjonatu, zobaczyłem trzy nowe twarze. Zostałem przedstawiony. Mrs. Adair, Miss Judy Bauer, Miss Marjorie Thomas. Przywitałem się, usiadłem na swoim miejscu. Rozmowa przy stole zaczęła się toczyć. Jak zwykle w takim wypadku, trochę banalnie, padały pytania - jak dawno są w Paryżu – jak się podoba – o pogodzie, i tak dalej.

Odrąz zwróciła na siebie uwagę, jedna z nowo przybyłych, doskonałą francuzczyzną. Odpowiadała swobodnie na pytania, druga od czasu do czasu tam coś szepnęła, a starsza pani wogóle milczała. Ja też nie brałem żadnego udziału w rozmowie. Milczałem, bo myśl moja była pochłonięta tym, co tam się dzieje w tej chwili w Warszawie. Z urywków tej rozmowy przy stole, takiej trochę informacyjnej, wynikało, że ta mówiąca doskonale po francusku, obecnie mieszka stale w Paryżu i pracuje w biurze brytyjskiej delegacji pokojowej i jej przyjaciółka ze swoją ciotką, przyjechały na kilka dni. Obiad dobiegał końca, ja zaabsorbowany swoimi myślami, miałem jakieś umówione spotkanie, jak tylko najwcześniej mogłem, wstałem od stołu, ukloniłem się i wyszedłem. Tak to się powtarzało przez kilka następnych dni. Nikt nie podejmował rozmowy na temat groźnej sytuacji koło Warszawy, a ja nie miałem specjalnej okazji coś na ten temat powiedzieć. Tak minęły dwa, trzy dni. Nagle sytuacja się zmieniła. Piętnastego sierpnia – Cud nad Wisłą. Sytuacja się wyjaśniła, moje myśli się uspokoiły. Zacząłem po toczę uczestniczyć w rozmowach przy stole.

Pierwszego nadarżającego się dnia, wyszedłem z tymi paniami na spacer, do jakiejś kawiarni na Polach Elizejskich, czy gdzieś może na spacer do Lasku Bolońskiego, tego dokładnie już nie pamiętam. Te rozmowy przy stole, od czasu do czasu przechadzki, jakoś zbliżyły mnie do tego nowego towarzystwa. I tak zacząłem nabierać sympatii do nich. Odwzajemniano mi się. Przyszedł taki moment, że pani Adair miała ze swoimi znajomymi spotkanie, a panienki były wolne i chętne do dłuższego spaceru, wyszliśmy więc w trójkę.

Kiedyś się wyraziłem ze troje to tłum. I tak dzień po dniu, zaczynam myśleć ta trójka zaczynała przybierać taki charakter. Pomyślałem że warto by to trochę przeorganizować. Pomyślałem sobie o Tadeuszu Zazielińskim.

Któregoś dnia wybrałem się do niego i powiedziałem mu że mam takie towarzystwo, że czasem wychodzimy na spacer i czy nie zechciałby nam towarzyszyć. Propozycją tą przyjął chętnie i umówiliśmy się na przyszły wieczór, że razem się wybierzemy na karnawał do Neuilly. Spotkaliśmy się i pojechaliśmy do Neuilly w czwórkę. jak przy takiej okazji, oczywiście śmiechy, jazda na karuzelach i trochę też można było potańczyć. Tak przechadzając wesoło natrafiliśmy na namiot wróżki, cyganki. No naturalnie cyganka nas zapraszała, a myśmy w tym śmiechu i zabawie, każdy po kolei wszedł do namiotu tej cyganki i słuchał jej normalnej paplaniny.

Nie zwróciłem wtedy uwagi co ona mówi. Nie wierzę w żadne wróżby, ale tutaj coś mnie później zastanowiło, mianowicie przepowiedziała mi, że w niedługim czasie, będę podróżował po morzu. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie byłem na morzu. Ale jednak nie minęło wiele czasu, bo zaledwie rok, a zacząłem istotnie podróżować po tym morzu, najpierw po kanale angielskim jeżdżąc z kontynentu do Anglii, a później dalej, bo kilka razy przepłynąłem poprzez Atlantyk.

Przechadzki więc takie już nie w tłumie, bo w czwórkę z Tadzikiem, powtarzaliśmy nie raz. Jednak trudno było jego stale ciągnąć, zwłaszcza że moje angielski miały też inne zajęcia. Miały też swoje zainteresowania, zwłaszcza Judy, która przyjechała tylko na parę tygodni aby zwiedzić i poznawać Paryż, a nie tylko chodzić z nami na spacer. Więc nie sympatii stawała się coraz silniejsza między mną a Marorrie. Więc zaczęliśmy chodzić sami. I szybko z przyjaźni zaczęła się rodzić prawdziwa miłość, która niedługo bardzo bujnie rozkwitła.

Praca w delegacji nie natrafia na żadne tutaj spostrzeżenia do zanotowania. Był to okres wakacyjny, więc tempo pracy było wolniejsze, konferencji było mniej, a zwłaszcza na naszym terenie, tempo życia musiało osłabnąć, bo Polacy byli zaabsorbowani tak bardzo wypadkami i ostatnią fazą wojny z Rosją bolszewicką. Delegacje przestały narazie dobijać się do naszych drzwi.

Na początku września Judy wyjechała z Paryża i wróciła do Anglii, wraz z swoją ciotką Mrs. Adair. Pogoda jesienna była piękna i ciepła, więc zaczęliśmy zwiedzać i wychodzić po za Paryż. Pojechaliśmy raz do Malmaison, kiedy indziej do Fontainbleau, tak że nasze rozmowy i wycieczki i spacer nabierały charakteru trochę bardziej intymnego. W pewnym momencie jednakowoż przyszedł kryzys, i nastąpiło prawdziwe wyznanie wzajemnej miłości. No i od tego czasu oczywiście cała atmosfera i tematy naszych rozmów nabrała całkiem innego charakteru.

Ja interesowałem się jej życiem, a oczywiście, ona interesowała się moim, sprawami które pochłaniały mnie, mianowicie zainteresowała się także sprawami polskimi. Więc kto to była Marjorie Thomas. Była córką emerytowanego majora Thomas, który wiele lat służył w armii brytyjskiej w Indiach. Miał posadę i zajęcie w zakładzie dla weteranów – Chelsea Hospital. Matka już nie żyła. Ojciec miał zwyczajny dom angielski, niedaleko stacji Balham Park, w południowym Londynie. Był to dom dwu piętrowy, dwa frontowe pokoje, jeden salon, drugi jadalnia, z tyłu była kuchnia.. Ogródek z tyłu za domem graniczył się z bardzo piękną olbrzymią przestrzenią Wandsworth Common. Na pół-piętrze była łazienka a na górze cztery sypialnie. Największą zajmował Margie ojciec, drugą zajmowała siostra jej matki, Miss McDough, która zajmowała się owdowiałym szwagrem. Margie matka była urodzoną irlandką, więc i katoliczka. Cała rodzina wychowana była w wierze katolickiej, ale ojciec ze względu na karierę pozostał przy kościele anglikańskim. Marjorie była wychowana w Belgii, w katolickiej szkole Sacre Coeur. Stąd jej dwu-języczność i pewne poważne obycie, którego nie mają przeciętne młode osoby angielskie

Marjorie miała jedną młodszą siostrę Enid, którą bardzo mało znałem. Pozatym miała trzy starsze siostry. Jedną Mrs. Rogers, wówczas żona jednego z dyrektorów angielskiej kompanii naftowej w Rumunii. Mimi Rogers mieszkała w Bukareszcie. Potem były jeszcze dwie starsze siostry; jedna Ada Heath, żona Sir Thomas Heath, emerytowanego Pod-Sekretarzem Stanu Skarbu; druga zamężna za obecnego Pod-Sekretarza Stanu Skarbu Sir Warren Fisher. Pozatym miała dwóch braci. Młodszy Bertie nie był w tym czasie w Anglii, był w służbie kolonialnej w Afryce. Drugi był najstarszy z rodzeństwa, był pułkownikiem w saperach w wojsku brytyjskim w Indiach. To że Margie w danym momencie miała pracę w biurze Brytyjskiej delegacji pokojowej, na pewno było spowodowane pomocą swojego szwagra.

Wzajemne wyznanie sobie miłości, wypełniły zarówno nasze myśli jak i rozmowy na temat przyszłości. Zaczęliśmy więc mówić o małżeństwie, ta sytuacja intymna jakoś tak na mnie podziałała, że myślałem, gdyż Margie była sama w tym pensjonacie swoim, nie wypadło mi jakoś, że właściwie mieszkaliśmy z nią pod jednym dachem. Więc, gdy nadarzyła mi się okazja znalezienia taniego pokoju sublokatorskiego w odpowiednim dla mnie bardzo wygodnym punkcie, bo na samej Avenue Kleber, koło biura, skorzystałem z tego i z pensjonatu się wyprowadziłem.

To oczywiście bardzo atmosferę naszych stosunków oczyszcziło, nie widywaliśmy się ciągle i stale, a także miało to dla mnie pewne materialne korzyści, bo pokój był tani i przestałem jadać w pensjonacie. Przeszedłem na trochę bardziej studencki sposób życia, co mój stan budżetowy bardzo poprawiło.

Równocześnie zacząłem się trochę zbliżać do towarzystwa Marjorie. Zaczęła wprowadzać mnie w kola swoich brytyjskich przyjaciół i powoli wszedłem w stosunki towarzyskie tamtejszego świata. Pochłonęło mnie to bardzo nie tyle imponowało, o ile miałem z tego stroną pożyteczną, bo skoro planowaliśmy małżeństwo, wydawało mi się bardzo słuszne żebym się trochę zapoznał z życiem i atmosferą kół angielskich. Zaczęło się od tego, że gdzieś na jakiejś herbatce poznałem jedną czy dwie osoby z jej towarzystwa, spędziłem czas dość przyjemnie. Potem znowu gdzieś w jakimś młodszym towarzystwie zjedliśmy lunch w restauracji, tak że powoli poznawałem tych ludzi.

Pewnego razu zostałem zaproszony na większe zebranie towarzyskie z tańcami. Margie bawiła się wspaniale, zawsze zresztą bardzo wesoła, było widoczne, że była bardzo popularna. Nie mogłem tego o sobie powiedzieć, bo towarzystwo było czysto angielskie, a w towarzystwie czysto angielskim, mówi się tylko po angielsku. Ja jakkolwiek rok przed poznaniem Margie zacząłem w Paryżu uczyć się angielskiego, to jeszcze byłem na zasadach bardzo prymitywnej znajomości tego języka. Nie zraziłem się tym bynajmniej, bo nie tylko do towarzystwa angielskiego wprowadziła mnie w danym okresie Margie. Miała ona także znajomości na terenie delegacji amerykańskiej.

Tutaj mam do zanotowania dwie okoliczności bardzo przyjemne i bardzo ciekawe. Mianowicie żona jednego delegata amerykańskiego na konferencji знаła Margie i widocznie lubiała ją. Kiedyś byłem tam zaproszony razem z Margie na popołudniową herbatkę. Poznała mnie i mi zaproponowała pewnego razu wzięcie udziału w pewnej bardzo ciekawej wycieczce. Miała do dyspozycji dużą amerykańską limuzynę i zorganizowała wycieczkę dla sześciu osób na zwiedzanie rejonu zdewastowanego, czyli wycieczka nad rzeką Marne. Towarzystwo było przyjemne, pogoda była bardzo dobra, jesienna. Warto by to zobaczyć. Warto o tym pamiętać. Wrażenie okropne! Okropne w tym sensie, że przygnębiające, prosto cmentarzysko. Pola jeszcze ciągle zaorane z

dołami od rozmaitych pocisków, drutów kolczastych, a drzewa tylko sterczące tam słupy telegraficzne, żadnego listka, żadnej kory. Widok bardzo przygnębiający dawał doskonały poglądowy obraz jak wyglądały zniszczenia wojenne, wojny pozycyjnej która tam trwała kilka lat. No i trafiliśmy do jednego czy drugiego miasta, czy miasteczka. Oczywiście niektóre z nich były zaledwie zamieszkałe, zrujnowane, masa wypalonych rozmaitych domów. Jednak niektóre mniejsze miasteczka już powróciły do życia. W jednej z takich miejscowości zatrzymaliśmy się na lunch. W towarzystwie wesołym, była to bardzo przyjemna i pouczająca wycieczka.

Do samej Mrs. Bradley byłem też raz zaproszony na wieczorny obiad, który był troszeczkę bardziej ceremonialny. Pani domu siedząc na czele stołu, paliła papierosy, w ciągu całego obiadu, co było we Francji, rzeczą zupełnie nie slychaną. Na bardziej ceremonialny obiad musiałem kupić lepszą garderobę. Właśnie w tym okresie zamówiłem u dobrego krawca, dwa porządne ubrania, też zrobiłem sobie smoking. moje finanse były trochę lepsze, w tym okresie pracowania w delegacji było dodatkowe wynagrodzenie, i dość oszczędnie się też prowadziłem.

Z Marjorie, tak jak narzeczeni, widywaliśmy się, rozmawialiśmy o wielu rzeczach, oczywiście snuliśmy też swoje plany na przyszłość. Margie już zaczęła myśleć o swojej wyprawie ślubnej. Zaczęła chodzić do krawcowej i do sklepów. No oczywiście były to bardzo przyjemne narzeczeńskie czasy.

Nadszedł październik i nadszedł okres rozpoczęcia nauki, roku akademickiego, który zaczynał się pierwszego listopada. Zacząłem się do tego po trochu szykować, a narazie jednak w dalszym ciągu pełniłem swoje funkcje w sekretariacie delegacji, gdzie czułem się bardzo dobrze. Przed rozpoczęciem roku akademickiego, wrócili moi koledzy polscy do Paryża. Z Jankiem Wszelakim musieliśmy zadecydować, czy będziemy dalej razem mieszkać, czy nie. Mieliśmy jednak podobne myśli i postanowiliśmy, że będziemy się starali mieszkać razem, bo to bardzo będzie nam pomagać w prowadzeniu naszych dalszych studiów. Ale postanowiliśmy, że jednakowoż rok egzaminów dyplomowych to powinniśmy się wynieść ze środowiska studenckiego. Postanowiliśmy uciec z Rive Gauche, ażeby w naszej pracy naukowej nie było przerwy, nie było zamieszania, nie było pokus. Jakoś ja się rozejrzałem w okolicy koło Arc de Triomphe.

Wpadło mi w oczy ogłoszenie, że jest mieszkanie, umeblowane, dwu pokojowe do wynajęcia na Avenue des Ternes, na pierwszym piętrze. Zbiegiem okoliczności, było to mieszkanie pisarza powieści popularnych historycznych Wacława Gąsiorowskiego. Cena nam odpowiadała. Warunki do prowadzenia własnego gospodarstwa, mieszkanie było umeblowane z kuchnią, z garnkami, ze wszystkim i rozwiązało wiele innych zagadnień zarówno pod względem czasu jak i budżetowo. A w dodatku pod nami był sklep rzeźniczy, więc mieliśmy część naszego zaopatrzenia kuchennego pod ręką. Zawarliśmy umowę do końca roku akademickiego, do wyjazdu z Paryża. Dwa pokoje były i łazienka. Podzieliliśmy się pokojami i zaczęliśmy prowadzić wspólne gospodarstwo.

Obaj przykładaliśmy się do tej pracy naukowej. Były jednakowoż różne systemy. Janek nie lubiał wstawać rano, poprostu spał, jeśli mógł z zakrytą głową, aż do godziny jedynastej. Zajęcia szkolne były przeważnie od godziny drugiej popołudniu. Kiedy wyjątkowo były, może raz na tydzień, zajęcia przed południem, no to musiał wstać. Z tego wynika, że musiał pracować nocą. Ja miałem inny system. Ja chodziłem wcześniej spać, natomiast wstawałem wcześniej rano, o piątej, najpóźniej piątej trzydzieści rano. Wstawałem i uczyłem się rano, więc nie przeskadzaliśmy sobie nawzajem ·

Natomiast później, w okresie drugiego półrocza z wiosną, kiedy pogoda była ładna, odbywaliśmy wspólnie razem spacery dla zdrowia. Ponieważ mieszkaliśmy bardzo blisko Lasku Bolońskiego, chodziliśmy po parku i egzaminowaliśmy się wzajemniebo uczyliśmy się te same przedmioty. W ten sposób spacerując dla rozrywki i zdrowia, robiliśmy nasze przygotowania egzaminacyjne. System był dobry. Janek Wszelaki był dobrym chłopcem, przyjemny, spokojny, i dobrze żyliśmy razem.

Natomiast chcę teraz przejść do dwóch wydarzeń, które się zdarzyły w tym samym czasie w moim życiu, a mianowicie, te które dotyczyły bardzo bezpośrednio stosunków moich i Margie. To jest moje poznanie pewnych członków rodziny Margie. Jest to moje spotkanie z najstarszym jej bratem - pułkownikiem Robertem Thomas i z jej starszą siostrą Mimi Roger. Gdzieś pod koniec jesieni, w grudniu 1920-go roku, pułkownik Robert Thomas, w przejeździe jakimś służbowym znalazł się w Paryżu. Oczywiście był w mundurze. Był bardzo przystojny, wysoki, wysportowany, chudy, wesoły i dobrze ubrany. Margie zawiadomiła mnie, że jej brat nie oczekiwanie zjawiał się. Oczywiście poleciała po brata, wiele sobie mieli do opowiadania. Oczywiście Margie wypowiedziała mu się ze swoich planów, swojej radości. Więc w rezultacie zawiadomiła mnie Margie, że jednakowoż chce żebym przyszedł, bo Bob chce mnie poznać.

Bob zaprosił nas na obiad do pierwszorzędnego hotelu. Mnie pułkownik Bob Thomas podobał mi się bardzo od początku. Czy ja mu przypadłem do gustu, czy nie, nie bardzo wiedziałem. On nie mówił po francusku, była między nami pewna bariera, bo moja angielszczyzna była jeszcze bardzo kulawa. Więc była rozmowa trudna, ale raczej przyjazna i także rzeczowa. Pułkownik był wesoły, lubiał tanczyć. Tanczył ze swoją siostrą i z punktu zauważyłem że miłość wzajemna między rodzeństwem była głęboka. Różnica wieku była duża, bo on musiał być dobrze po czterdziestce. Była także rozmowa, na tematy może nawet błache, ale jednak wróciliśmy do właściwego tematu. Margie może sobie nie bardzo zdawała sprawy, że mogą być pewne konflikty. Ja sobie zdawałem sprawę z trudności jakie mogą być z angielską rodziną, natomiast ja wtedy trochę inaczej oceniałem sytuację. Zdawało mi się, że będę mieszkał w Anglii, mam być dyplomata i to wpłynie na ustosunkowania rodziny. Ja jednak miałem to przeświadczenie, że ja potrafię się zaopiekować nad Margie na terenie Polski. Odrazu muszę tutaj jeszcze powiedzieć, że jednak pułkownik Bob był człowiekiem światowym, poniewieriał się po świecie. Nie miał specjalnych manier ani tendencji podejźliwego wyspiarza, członka Imperium Brytyjskiego, Margie jeszcze tam widywała swojego brata, przynoiosta mi wiadomość, że ja mu się podobałem, że aprobeuje nasze rzeczy. No i Bob wyjechał z Paryża.

Znowu bardzo podobnym elementem było spotkanie z siostrą Margie, Mimi Rogers. Pewnego dnia Margie dowiedziała się, że siostra przyjechała. Naturalnie poleciała odwiedzić ją i spędziła z nią wiele czasu, pewnie wypowiedziała się. Jak najlepiej to zdaje się poszło, bo po dwóch dniach pobytu Mimi w Paryżu, powiedziała mi Margie, że chciałaby mnie zobaczyć. Poszedłem ją odwiedzić w hotelu Ritz. Zaprosiła nas na lunch do restauracji tego hotelu. Było to spotkanie łatwe. Dlatego że, naturalnie. Mimi wszystko o mnie już wiedziała, o naszych stosunkach, a po za tym nie było tutaj bariery językowej. Mimi mówiła po francusku, tak jak i jej mąż, więc nie było trudności w używaniu wspólnego języka. Tak w rezultacie Mimi mnie polubiła i ja ją. Przed jej wyjazdem z Paryża po kilku dniach, raz jeszcze z Margie wpadłem do hotelu ażeby się z nią pożegnać., Wyobrażam sobie, że ten pewien stosunek tolerancyjny i przyjazny ma swoje

też powody w tym że Mimi mieszkała w Bukareszcie. Ta przyjaźń i życzliwość zawarta wtedy w Paryżu z Mimi przetrwała między nami na cały czas życia.

Margie mieszkała dalej w pensjonacie Schroederów. Naturalnie powiadomiła ich o rozwoju wypadków, a ja ją odwiedzałem. Życie biegło szybkimi krokami naprzód.. Ja jeszcze ciągle jestem w delegacji, ale ,gdzieś w lutym 1921 roku, zrezygnowałem ze swojego stanowiska. Nie miałem czasu na dodatkowe zajęcie, bo trzeba było się przygotować do końcowych egzaminów. Margie naturalnie była zawsze wesoła i rozkoszna. Opowiadała o swoich tam planach, projektach, no i co robi w Paryżu. Wiosną Margie wzięła urlop i pojechała na parę tygodni do Londynu. Było to pewnie dla niej bardzo ważne, musiała z rodziną swoje projekty bardziej skompletować. Omówiła najrozmaitsze szczegóły z rodziną, ale także i w porozumieniu ze mną. Zbliżały się końcowe egzaminy i mój powrót do Polski, więc musiało to wszystko być bardziej skompletowane. Także została prowizorycznie ustalona data naszego ślubu, który miał mieć miejsce w Londynie.

W tym samym czasie, mój ojciec przyjechał do Francji. Było to w takich okolicznościach, że w roku 1921 był jakiś zjazd międzynarodowy towarzystw gimnastycznych, który w końcu czerwca miał się odbyć. Więc na ten kongres z ramienia Sokolstwa polskiego, został delegowany mój ojciec. Porozumiał się ze mną listownie, że ma taki zamiar, że chce abym ja mu tam w Lille, w pełnieniu jego funkcji dopomógł i żebyśmy się spotkali. Nie bardzo mi to było wtedy wygodne, bo to był koniec kwietnia, krótko przed egzaminami. Jednakowoż wyjechałem. Spotkałem tam ojca, pomogłem mu na Kongresie. Po skończonym Kongresie, wyruszyliśmy razem do Paryża.

W Paryżu już miałem mniej czasu na zajęcie się ojcem, ale nie było to bardzo ważne, ponieważ znalazł swoich dawnych dobrych znajomych z czasów kijowskich wśród których znalazł opiekę. Oczywiście zostało zorganizowane spotkanie z Margie. Spotkanie to było dobre, przyjazne i udane. Jej bardzo się mój ojciec podobał. Ale była w tym jednakowoż jedna trudność w postaci zupełnej bariery językowej. Mój ojciec znał tylko trochę francuski ale dobrze mówił po niemiecku, zaś Margie języka niemieckiego nie znała zupełnie. Także to pierwsze spotkanie ze swoją przysłą synową musiała się w dużej mierze ograniczyć do wymiany porozumień ocznych i uśmiechów. Mój ojciec nie był długo w Paryżu, tylko dwa do trzech dni i wrócił do Warszawy. A ja wróciłem do swego bardzo intensywnego życia akademickiego.

Przyszedł ostatni dzwonek. Egzaminy skończone. Dyplom uzyskany. Jeszcze tu i tam rzuciłem okiem na zakątki paryskie. Pożegnałem się z kolegami. Pożegnałem się ze wszystkimi członkami biura delegacji. Oczywiście przed tym wyjazdem urządziłem małe pożegnalne przyjęcie, razem z Jankiem Wszelakim. Margie, oczywiście czule wzruszona, przyszła ze łzami w oczach zobaczyć pociąg odjeżdżający z Gare de l'Est.

Ja wróciłem do Warszawy. W Warszawie byłem oczywiście zajęty swoimi osobistymi sprawami. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych dostałem nominację na Referenta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w Wydziale Ekonomicznym w Departamencie Politycznym. Zgłosiłem się tam według instrukcji do biurka, bodaj że pierwszego września 1921 roku. Poznałem nowych kolegów, a przede wszystkim poznałem swego szefa. Był nim Dr. Wacław Orsewicz, także student były Szkoły Nauk Politycznych w Paryżu. Człowiek bardzo wykształcony, pracowity, przyjazny, miły.

Z kolegów biurowych nie wymieniam specjalnie nikogo. Zastępcą Dr. Orsewicza, był Rozwadowski, po za tym był konsul Zdzisław Narski.

Inne sprawy które załatwiałem w tym czasie, były oczywiście sprawy wojskowe. Dowiedziałem się, że w Aleji Róż, w jednym z pałacyków, urzęduje Komisja Likwidacyjna Korpusu Hallera. Zgłosiłem się tam. Generała Hallera nie było, ale zostałem przyjęty i po rozmówieniu się, moje papiery likwidacyjne zostały skierowane do najbliższej Komendy Uzupelnienia w Warszawie, która mieściła się na Pradze. Równocześnie zawiadomiono mnie, że zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych. Wydano mi legitymację Krzyża Kaniowskiego. Te dwa pierwsze cytaty zostały ogłoszone, oczywiście w dzienniku Ministerstwa Spraw Wojskowych. Z tego dziennika dowiedziałem się że Krzyż Walecznych został nadany: a s p i r a n t o w i Bolesławowi Biedze. Wiec Komenda Likwidacyjna Korpusu zgłosiła mnie w papierach ewidencyjnych, biorąc pod uwagę moją przeszłość w Legionie Wschodnim w randzie aspiranta. Aspirant to ranga nie znana w wojsku polskim, była w Armii Hallera i jest to stopień wojskowy francuski. Aspirant nosi odznaki oficerskie, ale nie ma rangi porucznika.. A w rezerwie dostałem przydział do Pierwszego Dywizjonu Artylerii Konnej w Warszawie.

Nie mniej ważną czynnością do wypełnienia, jak najprędzej było złożenie wizyt swoim przyjaciółom politycznym i tym z którymi miałem poprzednio ścisłe związki. Jednych odwiedziłem w Redakcj „Rzeczypospolitej”, którą kierował profesor Stręcz, a pomocnikiem jego był Stanisław Strzetelski; a innych w lokalach Związku Ludowo Narodowego, który później został Stronnictwem Narodowym..

No potem musiałem się zająć sprawami osobistymi. Oczywiście ojciec był w Warszawie. Siostra była wówczas już mężatką, też była w Warszawie. Brat też już wrócił i był na miejscu. Więc w Warszawie wszystkich odwiedziłem, a pozatym na najbliższy okres czasu musiałem myśleć gdzie mieszkać. Pomyślałem o tym jak to będzie, jak to ja się ożenię. W Warszawie wtedy były wielkie trudności mieszkaniowe, ponadto jeśli się gdzieś znaleźć, wysokie były kosza odstępnego. Miałem jednak szczęście, trafiło mi się mieszkanie dwu pokojowe, które dostałem troszkę tak jakoś przez protekcję, z przyjaźni, ale bez odstępnego. Była to część wydzielona z większego mieszkania przy ulicy Mazowieckiej 4, w oficynie. W oficynie też były główne schody i wejście z tych schodów było, wprost do dwu pokojowego mieszkania. Nie było to wcale idealne mieszkanie, ale trudno było nosem kręcić, trzeba było łapać to co w ręce wpadało.

I tutaj muszę powiedzieć, że zupełnie nie oczekiwanie, dostałem pewną pomoc, mianowicie dowiedziałem się, że mój dziadek Bauman w Sanoku pamiętał o swoim wnuku przed śmiercią i pozostawił mi w testamencie pieniądze. Całkiem dla mnie nie oczekiwana pomoc finansowa była jak najbardziej przeze mnie przyjęta chętnie. Gdyż istotnie pieniędzy wtedy potrzebowałem. W dodatku pomoc ta była do zrealizowania bez większych formalności. Mianowicie dziadek przed śmiercią przeprowadzając likwidację swego stanu posiadania, posprzedawał masę rzeczy. Uzyskane z tego pieniądze umieścił poprostu w amerykańskich dolarach. Część tych dolarów w kopercie otrzymałem od wykonawcy testamentu dziadka. Podobne koperty dostali moja siostra i mój brat.

Ta nie oczekiwana pomoc finansowa rozwiązała moje ręce i umożliwiła mi realizację swoich natychmiastowych planów. Otrzymałem urlop od ministerswa, zapakowałem walizki i udałem się na dworzec i wyjechałem. Podróż odbyłem jak mogłem w warunkach normalnych, w sposób oczywiście najtańszy. Nie miałem przecież pieniędzy na wyrzucenie, nie jechałem slipingiem, ale w zwyczajnym przedziale drugiej klasy, pociągiem nocnym z Warszawy do Berlina. W Berlinie, po uporządkowaniu swojej



garderoby i wygląd w bardzo porządnie urządzonej umywalni na dworcu, za skromną opłatę zjadłem śniadanie i czekałem jakiś czas na pociąg do Hook of Holland. Tam przesiadłem się na statek i ruszyłem do Dover. Przypomniałem sobie przepowiadanie tej cyganki. Jest to moja pierwsza podróż morską. Pogoda była świetna. Znalazłem się w Dover wcześniej rano i pociągiem stamtąd do Londynu na Victoria Station.

Więc znalazłem się w Londynie, na dworcu Victoria, po raz pierwszy w Anglii. Nie jestem natomiast sam, jak wówczas kiedy znalazłem się w Paryżu po raz pierwszy. Margie na mnie czekała i witaliśmy się wzajemnie w serdecznością i czułością. Chwała Bogu, ona zajęła się tragarzem, znalezieniem taksówki, bo moja znajomość angielskiego była jeszcze dość słaba. Zajechaliśmy do hotelu, który ona dla mnie zamówiła. Nie pamiętam gdzie to było, ale był nie daleko poselstwa polskiego. Usiedliśmy w hotelu i zaczęliśmy rozmawiać. Margie była trochę zdenerwowana, trochę podniecona, zardwono moim przyjazdem ale także tym, co ma mieć miejsce za dwa dni.

No i opowiada mi o najrozmaitszych formalnościach, kłopotach jakie są związane z naszym ślubem. Przepisy angielskie tak jak w każdym kraju wymagają rezydencji przez jakiś czas. Wobec tego Margie chwilowo mieszkała u swojej siostry. W stosunku do mnie, ze względu na mój paszport dyplomatyczny, większych formalności tutaj nie było. Te obowiązki rezydencyjne w danym wypadku spadły one na barki Margie.

Ja musiałem sobie przygotować także jakąś opiekę, pomoc w Londynie. W Anglii nie miałem zupełnie, absolutnie nikogo, więc za pośrednictwem i pomoc Tadeusza Rymara, którego znałem z Paryża, a który w danym momencie był naczelnikiem wydziału zachodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w drodze korespondencyjnej zostało ustalone, że w poselstwie polskim doznam należytej opieki i pomocy. Połem w Londynie, wówczas był dr. Wróblewski, sekretarzami w poselstwie byli Jerzy Adamkiewicz i Józef Lipski. Żadnego z nich nie znałem, ale Lipski był przyjacielem Rymara i on podjął się roli zaopiekowania się moją osobą i spełnienia ceremonialnej funkcji w czasie ślubu, drużby czyli „best man”.

Po długiej naszej rozmowie, trzeba było trochę uporządkować swoją garderobę, umyć się i zacząć działać. Przedewszystkiem trzeba było złożyć wizytę siostrze Margie, Mazie Fisher. Zabrała mnie Margie do jej mieszkania. Poznałem ją, przywitaliśmy się pięknie, serdecznie, ale w pośpiechu, bo czas naglił. Wiele jeszcze rzeczy było do załatwienia przed samą ceremonią ślubu, która miała być za dwa dni. Po tej wizycie Margie wsadziła mnie do taksówki, dała adres taksówkarzowi i udałem się z następną konieczną wizytą, do poselstwa polskiego.

Nasz ślub, miał odbyć się w sposób ceremonialny, zgodnie z zwyczajami londyjskimi w sferach towarzyskich obowiązującym ceremoniałem. A więc była do tego potrzebna odpowiednia garderoba, której ja ze sobą nie miałem.. Do tego jest potrzebny czarny żakiet z odpowiednimi spodniami w paski, odpowiednia koszula i kołnierzyk no i tradycyjny cylinder. W Londynie jak gdzie indziej nie jest to wielki kłopot, są wykwintne firmy, w których można takie ubranie wypożyczyć.

Więc przyjęty w poselstwie życzliwie, przez posła Wróblewskiego, poznałem Józefa Lipskiego, bardzo kulturalnego i miłego pana, później mego przyjaciela przez wiele lat. Więc on zajął się mną i zaraz pojechaliśmy do odpowiedniej firmy, został dobrany dla mnie garnitur, ale szyk tego wymagał jeszcze jakiejś poprawki. Nawet i ten cylinder został wynajęty.

Taki jest w zwyczaju w Anglii, że narzeczeni przed ślubem się nie widują. Więc po złożeniu wizyty u Lady Fisher, pożegnałem się z Margie i już więcej jej nie widziałem aż do ceremonii. Po załatwieniu tych formalności związanych z moją garderobą, Józef Lipski mną się dalej zaopiekował. Poszliśmy na jakiś obiad i wróciłem zmęczony do hotelu. Położyłem się, zmęczony podróżą i emocjami, szybko zasnąłem. Następnego dnia bliżej zapoznałem się z tym ceremoniałem, który mnie czeka, odebrałem tę garderobę. Trochę się rozejrzałem po Londynie i tak przyszedł dzień właściwy.

Rodzina urządziła dla Margie bardzo piękny ślub, taki jak godnie należało. Ślub był zamówiony w znanym dużym kościele katolickim w Londynie – Brompton Oratory. Ślub się odbył przy wielkim ołtarzu, z pełną ceremonią, o godzinie drugiej. Spotkałem się z Lipskim gdzieś tam o godzinie jedynastej, odpowiednio ubrany. Poszliśmy na lunch, i przyszedł czas kiedy trzeba się było znaleźć w kościele. Stoimy już na miejscu z boku ołtarza. Naturalnie w kieszeni miałem obrączki. Na ślubie naszym z rodziny Margie, nie był jej ojciec, bo był chory. Nie była Mimi bo była w Bukarescie. Nie było Boba, który był gdzieś w Indiach. Nie była najmłodsza siostra Enid, która była w Belgii. Po za tym byli wszyscy z jej rodziny. W kościele było pełno, było wiele osób, z pośród przyjaciół i znajomych Margie. Naturalnie nie było tam nikogo z pośród moich bliskich przyjaciół, czy kolegów, tylko parę ludzi z poselstwa.

Otworzyły się drzwi, zagrały organy i zaczęła iść długa aleją ku wielkiemu ołtarzowi Margie, ubrana w swojej białej suknie z długim welonem, wsparta na ramieniu swego szwagra Sir Fischera, skupiona, ale uśmiechnięta. Miała swoją asystę do niesienia jej trenu, jej młodziutkich siostrzeńców, córkę i syna Lady Fisher. Doszła do ołtarza, stanęła obok mnie i w dalszym ciągu skupiona, przeżywała swoje najważniejsze wydarzenie w jej życiu. Ceremonia sama ślubna nie była długa, bez mszy, tylko sam akt ślubu. Po czym główni aktorzy, to znaczy małżonkowie i świadkowie Lipski i Lady Fisher i najbliżsi z rodzimy, poszli do zakrystii, gdzie odbył się skromna ceremonia ślubu cywilnego.

Po tej całej ceremonii w zakrystii wróciliśmy do kościoła, przed wielki ołtarz, i wtedy przy dźwiękach marszu ślubnego, ruszyłem ze swoją żoną, z moją kochaną Margie wspartą na moim ramieniu, wolnym krokiem, wśród szpaleru zebranej tam publiczności, do wyjścia z kościoła. Stanęliśmy na stopniach wejściowych i zostaliśmy tam obsypani tradycyjnym ryżem. Potem wsiedliśmy do czekającego na nas samochodu i odjechaliśmy do domu Lady Fisher, starszej siostry Margie. W jej to domu było urządzone przyjęcie ślubne. No tam oczywiście życzenia, uściski, powinszowania, krótkie gratulacje, przemówienia, szampan, tort weselny. Zostały zrobione zdjęcia, nas dwojga i w grupie.

Po pewnym czasie wycofaliśmy się do prywatnego pokoju, ażeby zdjąć te uroczyste ślubne szaty i ubrać się w zwyczajne ubrania. Wyszliśmy z domu, wsiedliśmy do samochodu, i udaliśmy się do hotelu, w którym był zamówiony dla nas apartament. Było to w Norfolk Hotel w Kensington. Tam weszliśmy dość szybko, starając się nie zwracać bardzo na siebie uwagi, do swojego apartamentu. Kolację zjedliśmy w swoim apartamencie. Nazajutrz było bardziej wystawny lunch u Lady Fischer na którym byli najbliższa rodzina. I tak zaczęło się nasze nowe małżeńskie życie.

Zostaliśmy w Londynie jeszcze dwa czy trzy dni, w czasie których Margie pokazywała mi Londyn. Następnego wieczora pojechaliśmy na obiad zaproszeni do domu młodszego brata Bertie. Potem wyruszyliśmy w nasz króciutki podróż poślubni przez Brukselę, Berlin do Warszawy. Na dworcu Victoria przy naszym wyjeździe zebrała się

znowu rodzina, ażeby pożegnać Margie. Nie wiem co oni sobie wtedy myśleli. Może myśleli, że wyprawiają swoją siostrę na wygnanie?

Nasza siedmio-dniowa podróż poślubna była zorganizowana wygodnie. Najważniejsze to że byliśmy razem i to nam zupełnie wystarczało. Jednakowoż w Brukseli, którą Margie знаła dobrze, a ja byłem po raz pierwszy, oglądaliśmy wspaniały rynek i piękną nową dzielnicę, gdzie mieści się Palais de Justice. Byliśmy też w teatrze. W Berlinie w którym też byliśmy po raz pierwszy, też mieliśmy zamówiony w dobrym hotelu pokój. Berlin był wielką stolicą. Były bogate galerie i zbiory i było na co popatrzeć, na znane perspektywy: Alee Unter den Linden, Kurfurstendamm, Tiergarten. Pogoda nam dopisała mimo jesieni.

Wreszcie dotarliśmy do Warszawy. Pociąg zajeżdżał na Dworzec Wiedeński, przed południem, gdzieś koło godziny jedynastej. Na dworcu oczywiście powitała nas rodzina. Była siostra z mężem i swoją jednoroczną córeczkę, Marysia. Był także i mój brat który wtedy był w Garnizonie w Nowym Dworze pod Modlinem w Kompanii Saperów. Po powitaniu serdecznym na dworcu, ktoś zajął się naszym bagażem i odstawił go do naszego mieszkania na ulicy Mazowieckiej. Potem przeszliśmy do mieszkania mojej siostry, która mieszkała wtedy w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych na Placu Trzech Krzyży. Tam było dobre uroczyste śniadanie i rozmowy. Rozmowy serdeczne, ale była ta wielka bariera językowa. Z mojej rodziny prócz ojca, nikt obcego języka nie znał. A ojciec mówił biegle po niemiecki, ale Margie tego języka nie znała. Niemniej było tam uroczyście, przyjemnie, pogodnie, a to czego nie można było wyrazić słownie, było wyrażone uśmiechami, spojrzzeniami i uściskami. Trwało to nie zbyt długo, byliśmy bowiem trochę przemęczeni podróżą, tak że wczesnym popołudniem poszliśmy do naszego mieszkania przy ulicy Mazowieckiej cztery. I tam, w tym małym mieszkanku, rozpoczęło się nasze nowe życie.

#####

**Wszelkie prawa zastrzeżone C 2009 B.C.Biega**